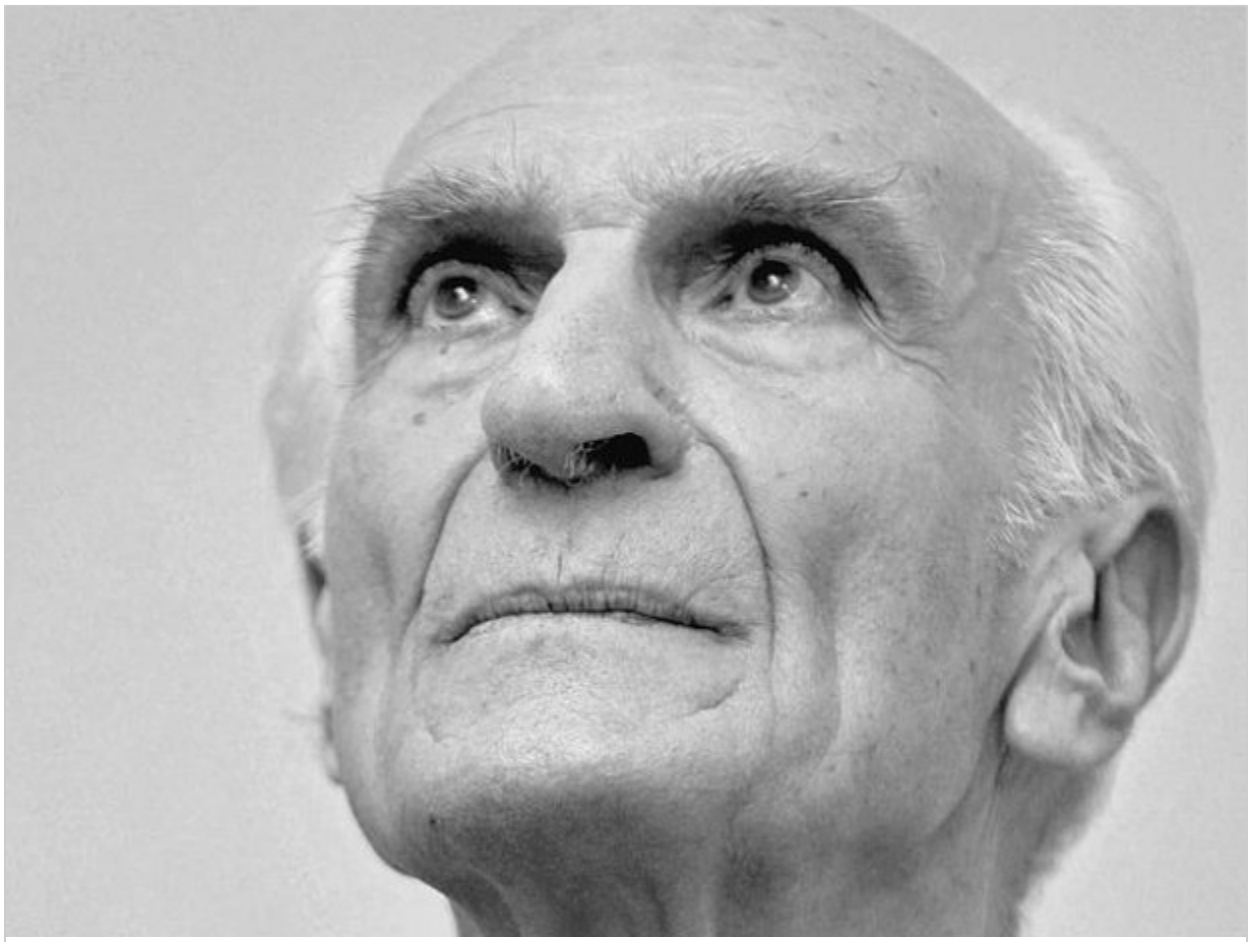
Marian Pankowski (1919-2011)



Marian Pankowski, fot. Łukasz Giza , Agencja Gazeta.

Florian Śmieja

3 kwietnia 2011 roku w Brukseli zmarł kontrowersyjny pisarz polski, orędownik daleko posuniętej swobody twórczej. Aczkolwiek debiutował po wojnie jako poeta i krytyk paryskiej „Kultury”, po kilku latach stał się głównie prozaikiem i dramaturgiem. Zamieszkał w Belgii, napisał kilka sztuk po francusku i przygotował antologię poezji polskiej w przekładzie na francuski, przez całe jednak życie posługiwał się z lubością językiem ojczystym, który wydatnie wzbogacił. Stał się jego mistrzem budując jego krzepę, jędrność i urodę. Z języka wstydliwego i ubożuchnego w terminy tyczące cielesności, zrobił go miejscami drastycznym i skandalizującym.

Pankowski urodził się w Sanoku w 1919 roku, tam uczęszczał do gimnazjum i zdał maturę. Służbę wojskową odbył w Szkole Podchorążych w Jarosławiu. Potem zapisał się na polonistykę na Uniwersytet Jagielloński.

We wrześniu 1939 roku walczył koło Tarnowa, a kiedy dostał się do niewoli niemieckiej, uciekł z niej i wrócił do Sanoka. Tam pracował jako robotnik do 1942 roku, gdy aresztowało go Gestapo za przynależność do Związku Walki Zbrojnej. Z obozu w Auschwitz powędrował do Gross-Rosen, Nordhausen i Bergen-Belsen, gdzie przebywał aż do wyzwolenia przez wojska brytyjskie.

W Belgii podjął przerwane studia i w 1962 roku uzyskał

tytuł doktora za rozprawę „Leśmian czyli bunt poety przeciwko granicom”. W 1980 roku został profesorem zwyczajnym w Katedrze Literatury i Filologii Polskiej na Uniwersytecie Brukselskim.

Do Polski pojechał w 1958 roku na zjazd byłych uczniów gimnazjum w Sanoku. Potem jeździł już regularnie zerwawszy kontakty z Giedroyciową „Kulturą”.

Jest autorem szeregu tomów poezji pisanych po polsku i francusku: „Pieśni pompejańskie”, „Podpłomyki”, „Sto mil przed brzegiem”, „Zielnik złotych śniegów”. Publikacja „Smagłej swobody” zapoczątkowała okres twórczości prozaicznej i dramatu. Po niej wydał prywatnie kontrowersyjną powieść „Matuga idzie”.

Było to przesłanie młodego pisarza, który obwieścił swoje przybycie na scenę. Napisał odważne przesłanie obrazoburcy. Bo Pankowski zerwał z literacką i patriotyczną tradycją i mitami. Zaproponował własną, indywidualną wizję różną od romantycznej, której hołdowały poprzednie stulecia. Sięgnął do przeciwnej zgoła, bo niskiej, plebejskiej kultury, do sowizdrzalskiej przebiegłości, do zuchwałości barokowej groteski. W dramacie będzie mu patronował Michel de Gheldenrode, którego przekładał na polski oraz turpizmy Leśmiana, którego studiował. Jego książkę przeciwstawia się też

patriotycznej wizji „Pana Tadeusza”, pisanego przez wielką emigrację dla pociechy przegranych emigrantów.

Pankowski natomiast szydził z najdroższych, najtragiczniejszych momentów historii i kultury polskiej, szargał uświęcone tabu, rozbijał pielęgnowane sceny i pamiętne sytuacje. W tradycyjnej prezentacji polskości niemiłosiernie piętnował stereotypy, odkrywał zakłamanie, odsłonił ciemne karty historyczne. Święta ojczyzna to prostacka „Kartoflania” oddana niemądrym dewocyjnym pielgrzymkom, pełna pijaków i niedojdów. Smagał bezlitośnie stateczne dramaty polskie sobie współczesne, stawiając w ich miejsce przemądrzałe bufonady, satyrę i urąganie. Nie obronił się przed nim nawet tragizm anihilacji Polski w czasie drugiej wojny, bo towarzyszą u Pankowskiego szokująco obsceniczne sceny orgii seksualnych, w imię prawdy przemożnego pociągu cielesności i ataków na polskie tradycje, utytłane w spelunkach, ohydnych lokalach, miejscach zakazanych.

Ta rozbełtana twórczość nie znalazła powszechnego przyjęcia na emigracji, a w Polsce tylko opornie torowała sobie drogę wśród próbujących podążać za autorem żądnych nowości czytelników. Czy po zaspokojeniu ich ciekawości i zaprezentowaniu dotąd zakazanych scenerii, Pankowski znajdzie zastępy stałych czytelników, czy odejdą oni, a zostaną jedynie wierzący w przedstawiane przez autora pasje? Nie sądzę, by z

marginesu propagowanego przez niego powstała cała strona, chyba zainteresowana pozostanie jedynie mniejszość .

Również nie wierzę, by atakowane stereotypy, na które nie proponuje nam zastępczych, lepszych, upadły pod razami szydercy, który potrafi wykpić, ale nie budować.

Najtrwalszym wkładem jest dla mnie język, który wzbogacony zachowa wiele nowych słów i idiomów. A to już jest spory sukces i naprawdę rewanż emigranta, który na obczyźnie potrafił wzbogacić ojczysty język.

Artysta życia znad rzeki



Andrzej Strumiłło w pracowni.

Dariusz Pawlicki

„Tyle słyszymy, ile mamy w sobie”.

Andrzej Strumiłło, *Factum est*

Siedząc w kamiennej altanie porośniętej bujnym dzikim winem, piliśmy herbatę. Na drewnianym stole, obok dzbanka z herbatą, stały szklanki i spodki z konfiturą z czarnej porzeczki.

Spomiędzy zwisających pędów wina widać było okazałe drewniane domostwo nawiązujące swym wyglądem do polskich dworów szlacheckich, a także prawie już ukończony budynek galerii, część domu dla gości i narożnik jednej z dwóch stajni. Widoczny był także modrzew o imponującym obwodzie pnia, kilkanaście dorodnych, starych lip i świerków, część ogrodu ozdobnego i sadu, fragmenty niewysokiego muru zbudowanego z kamieni polnych, otaczającego wspomniane obiekty.

Całą posiadłość, od zachodu, łagodnym łukiem opływa Czarna Hańcza. Przebieg jej koryta wyznaczają kępy bądź szpalery olch i brzóz, widoczne z miejsca, gdzie siedzieliśmy.

Nasze kubki smakowe zajęte były herbatą i konfiturą, a myśli – rozmową o niedawno wydanych dziennikach zatytułowanych *Factum est*, autorstwa mego siwobrodego i siwowłosego gospodarza, obejmujących lata 1979-2005. Sporo czasu poświęciliśmy również, mającemu mieć miejsce już wkrótce, otwarciu galerii, której powstanie było wynikiem jego starań.

Od pewnego czasu towarzyszyły nam trzy żurawie. Wysoko nad nami majestatycznie zataczały szerokie koła. Raz po raz rozlegał się ich charakterystyczny, przejmujący krzyk. Miało się wrażenie, że żegnają się z tym, konkretnym miejscem. Bo i zbliżała się pora ich odlotu. Był to bowiem koniec września. Do

tego nadchodzący z wolna zmierzch nastrajał do snucia myśli nie tylko o rozstaniach, ale i o sprawach ostatecznych. I spoglądając na siedzącego przede mną Andrzeja Strumiłłę, bo to on był gospodarzem tego pięknego miejsca, mogłem domyślać się jego myśli, przynajmniej tych niektórych. Tym bardziej, iż przebywałem z człowiekiem, który wiele widział, wiele spraw przemyślał, wiele też zdziałał, i to nie tylko w sztuce.

Wiosną 2010 roku, po raz kolejny (może dwudziesty piąty) poszedłem do Maćkowej Rudy, przez wsie Jeziorki i Buda Ruska. Było późne, zimne popołudnie. Zieleni dookoła wciąż było bardzo niewiele.

Andrzeja Strumiłłę zastałem w ogrodzie, gdy, nie zważając na deszcz, sadził bratki. Pomogłem mu wyjąć z samochodu kilka worków owsa. Przy okazji wspomniał, że w tym roku dziesięć hektarów ziemi obsieje nieselekcjonowanym ziarnem owsa, bo tylko na taki go stać, ze względu na bardzo znaczny wzrost ceny selekcjonowanego. A owies był mu potrzebny w związku z prowadzoną hodowlą koni arabskich.

– Pada coraz bardziej – stwierdził poprawiając kapelusz. – Zapraszam więc na herbatę. Ogrzejemy się też, bo jest wręcz zimno.

*

Picie herbaty w dużej kuchni, bądź pracowni gospodarza, jest zarówno ceremonią jak i tradycją tego domu. Podaje się ją z domowej roboty konfiturami (najczęściej z czarnej porzeczki), często z ciastem (nie zawsze własnego wypieku); pije się i spożywa niespiesznie, niespiesznie też rozmawia. Tematy tych rozmów są rozmaite. Tamtej zimnej wiosny herbatę piliśmy w pracowni. A obok szklanek i spodków z konfiturami Andrzej Strumiłło położył pokaźnych rozmiarów tom (bardzo ciężki za sprawą 552 stron papieru kredowego) opatrzony tytułem *Księga Wielkiego Księstwa Litewskiego.* Ten zbiór esejów napisanych przez Białorusinów, Litwinów i Polaków, a odnoszących się do historii, jak i wyobrażeń na temat nie istniejącego od przeszło dwóch wieków państwa, powstał z inicjatywy Czesława Miłosza, Tomasa Venclovy i właśnie Andrzeja Strumiłły. Ten ostatni jest też autorem ogólnej koncepcji *Księgi*, napisał do niej „Wstęp”, opatrzył ją przebogatą ikonografią.

Tak jak zwykle towarzyszyły nam psy, bo one są tu zawsze. Noszą przy tym oryginalne imiona np.: Atena, Piątek, Snopek.


82
7

A. Strumiłło, obraz olejny z cyklu „Psalmy” (82, 7).

Był czas, nie tak znowu odległy, kiedy w twórczości plastycznej Andrzeja Strumiłły, moją uwagę najbardziej przyciągały rysunki. Nie wykluczam jednak i takiej możliwości, a gdy piszę te słowa, uważam to za bardzo prawdopodobne, iż było to wynikiem zasłyszanych opinii na temat dokonań artystycznych Strumiłły. Będąc młodym człowiekiem byłem bowiem podatny, co nie jest niezwykłe, na opinie innych. A moje subiektywne ocenianie spraw, także tych dotyczących sztuki, było, mniej lub bardziej, ale utajnione. Lecz gdy, także w tej dziedzinie, nabrałem zdecydowanie większej śmiałości, stwierdziłem, iż jednak bardziej podziwiam malarskie osiągnięcia (nie te jednak ocierające się o abstrakcję) bohatera niniejszego szkicu. Ten podziw wynika z oryginalności świata stwarzanego pędzlem i farbami: postaci i zdarzeń, w które są one uwikłane, zestawień barwnych plam. Ale Strumiłłowe wizje malarskie nie pozwalają, tak po prostu, przejść obok nich. I to również dlatego, że zajmują tak duże płaszczyzny. Bo o ile rysunki tego artysty, utrwalające fragmenty pejzażu, budowle, elementy architektury, są rozmiarowo typowe, ot, zajmują płaszczyznę standardowej kartki czy jej część, to powierzchnia obrazów, prawie zawsze jest znaczna. Ale inaczej być nie może – tak wiele bowiem muszą one pomieścić. Nie można w ich przypadku, moim zdaniem, mówić o pięknie w typowym rozumieniu tego słowa (takie będziemy

napotykać w rysunkach Strumiłłowych). Takim jakie cechuje, na przykład, malarstwo Leona Wyczółkowskiego bądź holenderskie malarstwo rodzajowe XVII w. Nie widziałem chyba obrazu Andrzeja Strumiłły, który powiesiłbym na ścianie pokoju będącego moim miejscem pracy, miejscem lektur i słuchania muzyki (nie wykluczam jednak możliwości, że takowy istnieje). Za dużo zawartych jest w nich emocji, za dużo na nich się dzieje. W rezultacie – nazbyt przykuwają uwagę.

Nie są przy tym, w żadnym razie, rodzajem malarstwa chcącego naśladować fotografię. Operują bowiem środkami, które istnieją wyłącznie w malarstwie, w tym wypadku olejnym. Lecz nie są to prace, na które można tylko patrzeć. Na dodatek, aby w pełni przemówiły do widza, oglądanie musi mieć swój dalszy ciąg. Ten zaś polega na przyporządkowaniu postaciom, a są one symboliczne, jak też atrybutom i emblematom umieszczonym na płótnach, odpowiednich treści, znaczeń (malarstwo tego twórcy jest wyjątkowo obficie przepojone symboliką). I wtedy właśnie większość, może nawet zdecydowana większość, osób stykających się z obrazami Andrzeja Strumiłły napotyka problem zasadniczy – nie wie, co należy im przyporządkować. W rezultacie czego kontakt z płótnami tego artysty, niestety, ale dla nich ogranicza się jedynie do oglądnięcia. Co skądinąd, i tak, jest ciekawe ze względu na bogactwo kształtów, kolorowych plam. Przede wszystkim jednak jest pozostaniem w połowie drogi, gdyż najczęściej brakuje ich…

zrozumienia (nie jest to rzecz jasna „wina” ich twórcy). Świadomy tego autor, niekiedy opatruje swe prace krótkim, co najwyżej kilkuwyrazowym, komentarzem. W przypadku cyklu *Psalmy* funkcję komentarza pełni numer starotestamentowego utworu poetyckiego i numer odpowiedniego wersu. Ale i ta informacja swoją rolę może spełnić jedynie w wypadku, przynajmniej orientacyjnej, znajomości konkretnego psalmu. Choć przedstawione sceny niejednokrotnie podsuwają oglądającym pewne wyjaśnienia.

Odnoszę przy tym wrażenie, że sztuka stwarzana przez Strumiłłę, szczególnie jednak malarstwo, jest czymś więcej niż sztuką w rozumieniu współczesnym (ta zaś pełni funkcje dekoracyjne, ewentualnie służy… prowokacji). Odwołuje się bowiem do tego, czym była ona u swych początków – poznawaniem, tłumaczeniem świata, przewodnictwem po nim. Była wówczas także epifanią. To lektura *Boskiej analogii. William Blake a sztuka starożytna** sprawiła, że zacząłem dostrzegać owo nawiązanie do założeń sztuki przednowożytnej, jak też pokrewieństwo pomiędzy uzdolnionym wszechstronnie Blake’iem, mieszkańcem Londynu, a nie mniej uzdolnionym i równie wszechstronnym Strumiłłą, zamieszkującym Maćkową Rudę. Z tym, że wspomniane pokrewieństwo najpewniej wynika z oparcia przez Andrzeja Strumiłłę swego malarstwa na podobnych bądź wręcz tych samych założeniach, które przyświecały Williamowi Blake’owi, a nie na nawiązaniu,

świadomym bądź nie, do jego prac plastycznych, nie tylko malarskich.

W obrazach Andrzeja Strumiłły powstałych w kilku ostatnich dziesięcioleciach brakuje pewnego elementu (na wczesnych pracach jest on obecny). Ów brak jest kolejnym łącznikiem ze sztuką przedrenesansową (także z Williamem Blake'em). Otóż w jego pracach olejnych (jednak nie w rysunkach) nie występuje tak zwana perspektywa linearna. A dla artystów tworzących przed epoką renesansu, głębią było to, co stwarza wyobraźnia osoby patrzącej na obraz, rysunek, grafikę. Natomiast w przypadku sztuki nowożytnej „biorąc pod uwagę warstwę wizualnej ekspresji, możemy powiedzieć, że szczególne doświadczenie 'głębi' w tradycyjnym poznaniu poprzez sztukę zostało zastąpione zjawiskiem perspektywy"**.

Cenię Andrzeja Strumiłłę również jako fotografika ze względu na umiejętność zauważania w tym, co zwykłe, normalne, tego co jest niezwykłe, rzadko zauważane. I tę umiejętność potwierdził tysiącami zdjęć. Ale mimo, że dostrzegam jego dorobek w tym względzie, warty choćby pewnego pogłębienia, to jednak śpieszę się, aby czym prędzej wspomnieć o tekstach jego autorstwa. Nie tych będących recenzjami z, na przykład, wystaw malarskich, ale o esejach, czy utworach zbliżonych do tego gatunku literackiego. A śpieszno mi do nich ze względu na ich tematykę – ważną, istotną dla kondycji człowieka. Z tym, że autor

posługuje się przykładami wziętymi z życia jak najbardziej codziennego, pozornie pozbawionego wielkości, wyjątkowości. Czego przykładem może być następny fragment szkicu związanego tematycznie z Wigierskim Parkiem Narodowym, a zatytułowanego *SZTUKA WIZUALNA na terenie parku*:

„Wiele z tego co człowiek tu stworzył w procesie dziejowym, harmonijnie wpisało się w formy natury, stanowiąc z nią nierozdzielną całość godną szacunku i ochrony. Myślę nie tylko o monumentalnym założeniu Klasztoru Wigierskiego, przed którym stają autokary zagranicznych turystów, ale i starym domu wśród wiekowych drzew na skraju wsi, gdzie na ganku wygrzewa się kot”.

Za inny przykład może służyć urywek ze wstępu do *Factum est*:

„Witam każdy nowy dzień, witam każdą kroplę deszczu, powtarzającą rytm mego serca i odliczającą mój czas. Coraz częściej wobec skracającej się w sposób nieodwołalny nici żywota oraz niepewności, czy i kiedy dane mi będzie uprawiać róże w ogrodach śmierci, wracam ku przeszłości, mając przekonanie, że czas miniony zawarł większe przestrzenie i napięcia niż te, które może oferować moja przyszłość. Pewnego zamglonego ranka, na przełomie września i października, stojąc na schodach przed domem, usłyszałem coś, co było dowodem na

augustiańską jedność czasów, przeszłego, teraźniejszego i przyszłego, niby-czasem Miłoszowskim. Za rzeką ryczał byk. Jak przed pół wiekiem w lasach pod Płytnicą, kiedy z manlicherem w ręku przekradałem się przez gęstwinę sosnowych młodników na powojennym spalenisku".

Andrzej Strumiłło to także architekt i urbanista. Może na skalę niewielką, ale jakże ważną, gdyż prywatną, osobistą. Jego dokonania w tej mierze w Maćkowej Rudzie każdorazowo budzi mój podziw (dom, który zaprojektował i wzniósł w Niedźwiedzim Rogu na Mazurach jest mi znany tylko ze zdjęć i opisów). Niewątpliwie zabudowa posesji, o której obszernie wspomniałem na początku niniejszego szkicu, przykuwała uwagę każdego, kto pieszo czy przy użyciu jakiegokolwiek pojazdu poruszał się drogą biegnącą przez Maćkową Rudę (latem mogą przyjrzeć się jej, ale z drugiej strony, uczestnicy spływów kajakowych). W poprzednim zdaniu użyłem czasu przeszłego, ponieważ jeszcze dziesięć lat temu dom Andrzeja Strumiłły i kilka budynków stojących obok niego, tak jak i niewysoki mur okalający je, były dobrze widoczne. Lecz drzewa rosnące wzdłuż drogi, już tak urosły, zresztą wciąż wyrastają nowe, że widok ten został znacznie ograniczony – widać jedynie fragmenty zabudowań.

Wspomniany aspekt osobowości, czyli kształtowanie swego najbliższego otoczenia, stwarzanie go bliskim sobie, jest tym, między innymi, co tak bardzo podziwiam w artyście znad Czarnej

Hańczy. Z wpływaniem na otoczenia, nie tylko to bezpośrednie, jak najściślej łączy się świadome kształtowanie własnego życia artystycznego, zawodowego; nie czekanie na to, co może się stać, ale inicjowanie pewnych zdarzeń. O owocnym działaniu świadczą, z jednej strony, chociażby, setki obrazów i wierszy, projekty scenograficzne do dziesiątków sztuk teatralnych i widowisk telewizyjnych, tysiące rysunków i zdjęć (chyba wyłącznie czarno-białych). Z drugiej zaś strony – liczne ekspozycje prac swego autorstwa, książki własne (łączące teksty ze zdjęciami, pracami plastycznymi), jak też innych autorów, ale stworzone przy jego udziale (jako ilustratora, osoby opracowującej stronę graficzną publikacji, czy redaktora), tysiące dzieł sztuki przywiezionych z licznych podróży; część z nich trafiła do zbiorów Muzeum Azji i Pacyfiku, którego Andrzej Strumiłło jest współtwórcą.

*

Andrzej Strumiłło jest dla mnie stałym punktem (obok członków mojej Rodziny) na, tak mi bliskiej, Suwalszczyźnie.

Mieć w swym, choćby i dalszym otoczeniu, kogoś kogo można podziwiać, podpatrywać w działaniu, kto służy za wzorzec, jest, tak jak było i najpewniej będzie, czymś niezmiernie ważnym. Nauczyciele, mistrzowie, przewodnicy są bowiem niezbędni.

Domostwo Andrzeja Strumiłły (i On sam) od strony Czarnej Hańczy, fot. D. Pawlicki.

_____

* Michał Fostowicz, *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytna*; słowo/obraz terytoria, *Gdańsk 2008.*

** tamże, str. 231.

Dariusz Pawlicki – ur. w 1961 r. autor esejów i szkiców (2 zbiory: *Chwile, miejsca, nastroje* i *Zauważenia*), wierszy (wydał kilka zbiorów utworów poetyckich m. in. *Haiku*, *48 wierszy*), książki dla dzieci (*Bibikin w drodze do Kamienia Życia*); teksty publikuje np. w „Borussii", „Gazecie Kulturalnej" „Krytyce Literackiej", „Pisarzach.pl", „Twórczości"; autor 100 haseł w *Encyklopedii Wrocławia* (Wydawnictwo Dolnośląskie);

w Bibliotekach Publicznych i na Uniwersytetach III Wieku prowadzi „Warsztaty literackie", a także wygłasza prelekcje dotyczące literatury i sztuki; od 2001 r. należy do Związku Literatów Polskich, mieszka we Wrocławiu.

Baśń się baje, czyli magia surrealizmu



Wilek Markiewicz, Mały okret na Costa Brava, drzeworyt.

Wilek Markiewicz

Lubię surrealizm, bo to podróż w nieznane. Surrealizm nie jest wymianą informacji, tylko jest wielką niewiadomą. Surrealizm może być wyrazem piękna („Ona ma kolor moich oczu, ona ma formę moich rąk”… Paul Eluard), lecz może być i coś więcej; Eluard, oczywiście nie wiedząc o tym, poszedł drogą mechaniki kwanta, która twierdzi, że obserwator aktywnie się przyczynia do istnienia tego, co spostrzega. Dosłownie, „czary mary”. Ogólnie rzecz biorąc, fizyka, począwszy od Einsteina, twierdzi że teoria ma największe szanse prawdopodobieństwa, gdy jest „elegancka”. Czy słowa surrealizmu mogą koegzystować „bo się lubią”? Mozart, przedwczesny kompozytor, mówił, że „szuka melodii, które się lubią”. Pozostawiam ocenie czytelnika:

Bez znicza, ni gawędy…

Los nas obdarza, nas obnaża

szczytem, plebiscytem

swej niebotycznej laski.

O czym tu dumać, kiedy myśl leniwa… (to nie jest surrealistyczne; po prostu parafraza „O czym tu dumać…” Mickiewicza, ale mam pokusę, by zacytować).

Chciałbym zwrócić uwagę na powiązania między surrealizmem a premonicją. W surrealizmie, można dojść logicznym myśleniem do nielogicznych konkluzji – i na odwrót. Czasem do ostatniej chwili się nie dowiemy wyników tej loterii kaprysów losu. Nie oznacza to, że surrealizm jest w błędzie, tylko że jakoś dziwnie surrealizm i mechanika kwanta idą ręka w rękę (pryncypia niepewności Heisenberga).

Oto ilustracja, z własnego doświadczenia, powiązania surrealizmu z premonicją.

Lata temu przechodziłem koło paryskiej Opery, myślałem o dekoracyjnych zmianach, następujących tam wtedy i nie mam pojęcia w jakim związku, „sfrunęła” do mnie strofa, nawet z melodią, choć nigdy melodiami się nie zajmowałem:

Albowiem życie nie poszło im wcale

I zechcą przestać istnieć te osoby

Inni łkać będą, innych będą żale

Inne popłyną chmury na ich głowy

Nie ja… nie ja…

Lata później, w Kanadzie, przyszła do mnie interpretacja. Może to była zapowiedź, że przyszłość będzie ciężka, lecz się nie dam!?

Inna metaforyczna premonicja, tym razem z niedawna. Z nieznanego mi powodu, coś we mnie się odezwało:

O ludzie, ludzie, gdy oko olbrzyma

Wepnie się we mnie i będzie po cudzie…

Zagadka kompletna, nie przyłożyłbym może uwagi, gdyby nie było w tym coś przejmującego. „Oko olbrzyma” zaprasza do metafizycznej interpretacji, lecz „i będzie po cudzie” odrzuca tę interpretację. Interwencja związana z „okiem olbrzyma”, które „się wepnie” powinna być związana z cudem, nie „po cudzie”. Więc odrzuciłem z łatwością wersję cudu, która tylko oddala, a

nie wyjaśnia, zagadkę. Zawsze odrzucam spekulacje, filozofie, gdy czuję, że dalej pójść nie mogę.

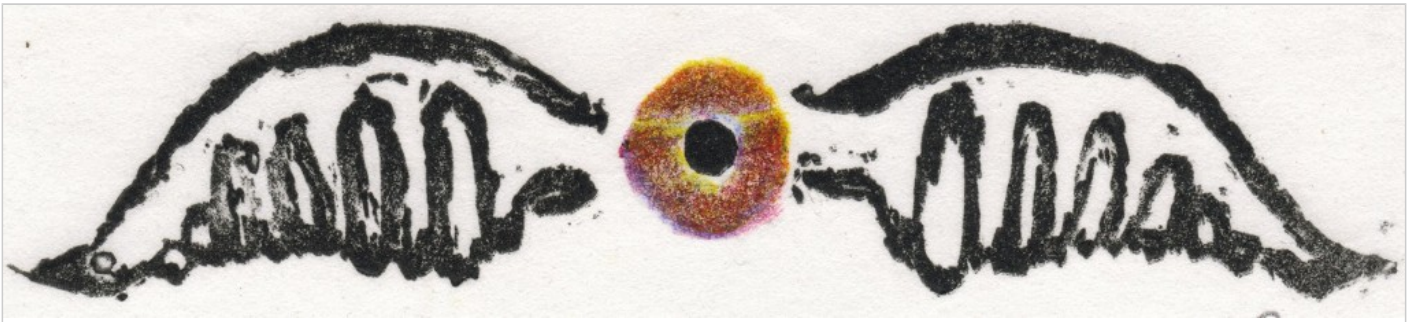
W końcu przyszło wyjaśnienie, które lubię, bo zabawne. Nieco później inny „surrealizm” mnie nawiedził, nic nie znaczący dla siebie samego, ale możliwy do powiązania z pierwszym.

Od 8-mej bramy, za 8-mą rzeką

Tam gdzie Banjak jest bardzo daleko.

Z tego samego powodu co z pierwszą zwrotką, czułem się poruszony. Nie wiedziałem co to jest Banjak, nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek o tym słyszał i co oznacza ta „brama” i te „rzeki.” Szukałem w Internecie i znalazłem humorystyczną polską stronę studencką o „banjackiej braci”: „niech Banjak będzie z wami…” Napisałem do nich: „Kim jesteście i skąd się wziął ten Banjak”? Nigdy mi nie odpowiedzieli. Szukałem dalej i znalazłem tekst Jaroslava Haška, tego od „Soldata Szwejka”, w którym było zdanie „gdzie Banjak jest daleko” – ale po czesku. W końcu znalazłem wersję angielską; było to w krótkiej noweli, a la Conrad, gdzie była wymieniona tropikalna wyspa Banjak. Więc

się zbliżałem do celu. Szukałem w „National Geographic” i istotnie znalazłem wzmiankę o wyspie Banjak, co po polinezyjsku oznacza „gorąca” i „wilgotna”, czyli piekło dla mnie, bo nie znoszę wilgoci ani upału. Ale „racjonalną” interpretację premonicji znalazłem, jeżeli znajdę inną, tym lepiej. Otóż „brama” może być symbolem narodzin. Rzeka jest symbolem czasu; za 8-mą rzeką może być symbolem po osiemdziesiątce. 8-ma brama może być o narodzinach 80 lat temu. Więc zsumujmy. Gdy mi przejdzie 80 lat istnienia, może losy mnie zawiodą na wyspę Banjak, tam z powodu upału wezmę kąpiel w morzu i rekin czy krokodyl „wepnie we mnie oko olbrzyma” i będzie po cudzie, bo każde życie jest cudem w sobie. Więc jeśli pora drogi do Hadesu przyjdzie wcześniej, dostanę oczywisty dowód, że premonicja była fałszywa. Na razie pryncyp niepewności Heisenberga dla mnie trwa.



Wilek Markiewicz, Oko wyobrazni, drzewo/linoryt; czesc kolorowa – drzewo

William Markiewicz, torontoński artysta zmarł w listopadzie 2014 r.

Tekst ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w styczniu 2005 r.

Pisać mi wolno. Spotkanie ze Słonimskim.



Antoni Słonimski, 1972 r. Foto: TVP/PAP- Zygmunt Januszewski

Florian Śmieja

Było czymś oczywistym, że poznawszy w Nowym Jorku Józefa Wittlina, a Kazimierza Wierzyńskiego w Londynie, pragnąłem spotkać ich skamandryckich druhów. W Londynie widywałem często Stanisława Balińskiego, najmłodszego ze świetnej plejady, rzadkiego już wtedy liryka, zerkającego ku teatrowi i mającego święcić triumfy w komedii „Polka z kraju", którą grano nie tylko w Anglii, ale także za Oceanem.

Podczas jednej z wizyt w Polsce poznałem wcale nieoczekiwanie Jarosława Iwaszkiewicza odwiedzając redakcję „Twórczości".

Bywałem tam wcześniej, ale tamtym razem przywitawszy się ze Zbigniewem Bieńkowskim usłyszałem tylko jego słowa: „Jest szef" i zanim pojąłem, o co mu chodzi, rozsunął drzwi i wpuścił mnie do pokoju, w którym za biurkiem siedział Jarosław Iwaszkiewicz. Na dźwięk mojego nazwiska wstał i wyciągnąwszy rękę do mnie powiedział: „No, co na to powie emigracja, jak się dowie, że pan był u mnie?" Pewnie jedynie wzruszyłem ramionami, bo cóż by miała powiedzieć? Zresztą, o ile pamiętam, nie wspominałem nigdy o tym wydarzeniu.

Nie pamiętam już, jak to się stało, że zatelefonowałem i umówiłem się z Antonim Słonimskim. Może zrobiłem to pod urokiem jego tekstu o Jezusie, który na osiołku przyjechał do Warszawy, kapitalnie podanym w Siemionowej Starej Prochowni. Mógł był mi o nim opowiadać ambasador J.K.M. sir George Clutton, mój dawny uczeń, urzędujący przy tej samej ulicy. Chyba że polecił mi go odszukać redaktor „Wiadomości" Mieczysław Grydzewski.

Bo Słonimski był w owym okresie w niełasce. Kiedy nieostrożnie podczas spotkania odezwałem się na ten temat, ubolewając, że mu zabroniono pisać, szybko zaripostował: „Ależ skąd, pisać mi wolno. Nie wolno mnie drukować". W obecności ciętego satyryka i polemisty obowiązywała precyzyjność wypowiedzi…

Spotkaliśmy się w kawiarni bodaj „Stylowej" przy placu Trzech

Krzyży. Pan Antoni przyszedł ze swoim ulubionym angielskim parasolem. Usiedliśmy na zewnątrz. Przechodnie kłaniali się panu Antoniemu, co on skomentował słowami: „Widzi pan, ludzie mnie znają i szanują. To tylko ci na górze”. Na chwilkę przysiadł się Stanisław Dygat. „I wie pan, czym się teraz oni zajmują?” Oczywiście, że nie wiedziałem. „Pilnie z wszystkich podręczników szkolnych usuwają moje wiersze”.

Nie przyznałem się, że we współredagowanym w Londynie miesięczniku wydrukowaliśmy wyraźnie już wtedy przypisywany Słonimskiemu poemat „Sąd nad Don Kichotem”, który krążył w odpisach i którego kopię zdobyłem.

Sądzę, że testament Don Kichota z tego poematu dobrze charakteryzuje Słonimskiego. Przytoczę kilka jego wersów:

Melodia, którą się pamięta,

Piosenka, której refren wraca,

Dowcip szyderczy, żart ulicy,

Rym celny, niespodziana pointa

To moi wierni sojusznicy.

W starej powieści i dramacie

Mój gest i głos mój rozpoznacie.

Poczciwy truizm, banał z nagła

Dreszczem przebiegnie wam po grzbiecie

Lub szlochem skoczy wam do gardła.

Latwo się mnie nie pozbędziecie.

Dziwnym trafem, kiedy tego samego dnia byłem u Julii i Artura Międzyrzeckich na Marszałkowskiej, zjawił się u nich także, dopiero co poznany, Słonimski.

Różnymi meandrami toczyły się jego losy: od redakcji pisma w Londynie po kierowanie tamże instytutem bojkotowanym przez emigrację, po triumfy a potem klęski po powrocie do Polski. Kiedy zginął tragiczną śmiercią, posypały się wspomnienia, artykuły hołdownicze i oporne laurki. Zmarły miałby nie byle jaką satysfakcję oglądać tych różnych ludzi powołujących się nań i biorących go za model postępowania. Słonimski już przedtem pomyślał o swoim epitafium, wymierzył sobie sam sprawiedliwość, miał odwagę wyznać swoje porażki i określić przeznaczenie:

że byłem kiedyś małoduszny,

że kiedyś zbrakło mi odwagi

I że milczałem wbrew sumieniu,

Umierający chcę być nagi.

Chcę zrzucić z piersi ciężar duszny

I raczej spocząć w zapomnieniu,

W przydrożnym prochu i popiele,

Niż na wysokim katafalku

W waszych fałszywych bóstw kościele.



Rękopis Antoniego Słonimskiego ze zbiorów Biblioteki Narodowej

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto w 2003 r.

Norman Boehm – wielki przyjaciel Polski



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm, Warszawa 2013 r.

Norman Boehm zmarł w Wilmington w stanie Delaware w USA. Był Amerykaninem, nie mówił po polsku, ale był wielkim rzecznikiem spraw Polski w Ameryce. Jego listy w sprawie przyjęcia naszego kraju do NATO są cytowane w książce Jana Nowaka-Jeziorańskiego "Polska droga do NATO".

Norman Boehm urodził się w 1938 roku w Dover w stanie New Jersey. Był inżynierem chemikiem, prawnikiem i specjalistą od wielkich kontraktów. Pracował w firmach związanych z ropą naftową: najdłużej – 16 lat w ARAMCO w Arabii Saudyjskiej, potem w Exxon w Londynie, w Stavanger w Norwegii i w Teksasie. W Londynie przeprowadzał kontrakty w ramach słynnego projektu "North Cormorant" w 1976 roku.

Kontrakt ten, dotyczący szybów wiertniczych na Morzu Północnym, uznano za najcenniejszy w historii firmy Esso i Shell, został skończony przed terminem i zaoszczędzono wiele milionów dolarów. Polska zaproponowała mu także rolę konsultanta, kiedy nasz kraj miał sprowadzać rurociągiem gaz z Norwegii. W 2003 r. Boehm wygłosił na Politechnice Łódzkiej wykład o sposobach sporządzania kontraktów i zasadach etycznego postępowania przy zawieraniu umów przez wielkie firmy.

Norman Boehm był też pianistą; kochał muzykę Chopina,

Czajkowskiego. Lubił jazz, m.in. Cola Portera, a z polskich muzyków Włodzimierza Nahornego. Codziennie grywał na pianinie. Był też pilotem; dwa lata latał jako pilot wojskowy w US NAVY. Licencję pilota miał do końca życia i przez wiele lat latał małym samolotem Aeronca Chief model 1948.

Od 26 lat był mężem Aleksandry Ziółkowskiej, polskiej pisarki, autorki ponad 20 książek opublikowanych w języku polskim i kilku tytułów, które ukazały się po angielsku w Ameryce.

Norman, zapewnia jego żona, stał się niemal polskim patriotą. Zabierał np. głos w sprawie przyjęcia Polski do NATO, o czym pisał Jan Nowak-Jeziorański w książce "Polska droga do NATO". Inicjował wraz żoną masowe wysyłanie listów do kongresmenów; prowadził korespondencję w tej sprawie z senatorem Joe Bidenem i senator Kay Bailey Hutchinson. Jan Nowak-Jeziorański pisał, że gdyby wszystkie 50 stanów Ameryki miały Normana Boehma i Aleksandrę Ziółkowską-Boehm to byłby spokojny o nasze przyjęcie do NATO.

Norman Boehm często interweniował w sprawach Polski i robił to sam, z własnej wrażliwości – zaznacza Ziółkowska-Boehm. Nieraz zwracał się do amerykańskich mediów, zwłaszcza "Time'a" i "New York Timesa" oczekując sprostowania nieprawdziwych, krzywdzących Polskę określeń "polskie obozy pracy", "polskie obozy śmierci".

Po ukazaniu się na amerykańskim rynku kolejnej książki Jana T. Grossa: "Fear: Antisemitism in Poland after Auschwitz" ("Strach. Antysemityzm w Polsce po Auschwitz"), kiedy amerykańskie media masowo publikowały nieprzychylne Polsce recenzje Norman Boehm wystąpił w obronie wizerunku Polski. Kiedy w pełnej emocji, wychwalającej książkę Grossa recenzji Elie Wiesel, laureat pokojowej Nagrody Nobla stwierdzał, że m.in.: "Antysemityzm przetrwał najbardziej w Polsce" Norman Boehm napisał w "The News Journal" (27 lipca 2006 r.), że w Polsce "nie ma więcej antysemityzmu niż gdzie indziej" i przypomniał, że "Polska przyjmowała Żydów wtedy, gdy inne kraje europejskie ich wypędzały".

Mąż pisarki był protestantem-prezbiterianinem, ale chodził z żoną do katolickiego kościoła. Oboje byli zaangażowani m.in. w problematykę amerykańskich Indian, sponsorowali indiańskie szkoły i fundacje. Po wspólnych licznych odwiedzinach rezerwatów i wywiadów z Indianami powstała książka Aleksandry, która w Polsce ukazała się pod tytułem "Otwarta rana Ameryki", w Stanach wydawcę "Open Wounds – A Native American Heritage" pomogli Boehmom znaleźć Apacze.

Norman był szwedzko-niemieckiego pochodzenia. Jego kuzynką była wielka gwiazda filmowa Ingrid Bergman. Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm "Ingrid Bergman prywatnie" ukazała się w wydawnictwie Prószyński i S-ka., a w Stanach

wyszła pt. “Ingird Bergman and her American Relatives”. Opisane w niej zostały m.in. spotkania Normana z kuzynką Ingrid w Paryżu, Deauville, Nowym Jorku, Londynie.

Norman Boehm często odwiedzał wraz z żoną Polskę; chętnie podróżował po naszym kraju. Pokochał Zakopane. Podobał mu się Gdańsk, Nieborów. Najlepiej czuł się jednak w Warszawie. Często uczestniczył w spotkaniach autorskich Aleksandry z polską publicznością. Był przez grono jej czytelników traktowany jak ktoś dobrze znany, serdeczny i bliski.

Oboje z żoną bardzo kochali zwierzęta. Wielokrotnie lecieli samolotem z Ameryki do Polski i z powrotem, z dwoma kotami na kolanach, co naturalnie też zostało opisane w książce “Podróże z moją kotką”.(PAP)

źródło:
http://dziennikzwiazkowy.com/ameryka/zmarl-norman-boehm-wielki-przyjaciel-polski/



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm na tle rzeźby Crazy Horse, Dakota Południowa 1999 r.



Norman Boehm i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Mount Rushmore, South Dakota, 1995 r.

English version:

https://archiwum2019-en.mon.gov.pl/poland-in-nato/path-to-nato/a-silent-hero-k2010-07-03/

Malarstwo Krystyny Renaty Robbins

Wystawa Krystyny Renaty Robbins

Z KRAINY NAD RIO GRANDE

Galeria Mazowiecka, Mazowiecki Instytut Kultury

w Mazowieckim Urzędzie Wojewódzkim w Warszawie (Ratusz) Plac Bankowy 3/5

Od 18 do 28 sierpnia 2016 roku.

Koordynator wystawy: Romuald Mieczkowski



Krystyna Renata Robbins

Krystyna Renata Robbins, urodziła się w Szkocji. Jest córką Józefa Grelocha, oficera Wojska Polskiego w II RP i Agnieszki z domu Przybylskej. Wychowywała się w Londynie, a w 1955 roku wraz z rodzicami wyjechała do USA i jako jedna z ostatnich przeszła przez centrum emigracyjne na Ellis Island. Wyszła za mąż za absolwenta West Point, oficera US Army, Johna Robbinsa.

Tytuł magistra sztuki otrzymała w Fashion Institute of Technology w Nowym Jorku, po czym poświęciła się malarstwu. Doskonaliła swe umiejętności pod okiem znanego portrecisty

Jessy Corseau, marynisty Harrite Mayland oraz innych profesorów z kalifornijskiego środowiska artystycznego Carmel-Monterrey. Przez lata szlifowała swój talent u znanych europejskich, amerykańskich i azjatyckich artystów. Obecnie wykorzystuje tę wiedzę, prowadząc zajęcia dla adeptów sztuki z południowo-zachodnich stanów USA, z Meksyku i Europy.

Gdy osiadła w teksańskim El Paso, jej zainteresowania obróciły się w kierunku uchwycenia niepowtarzalnego uroku historycznych misji zakonnych. Jej prace rozpoznawalne są nie tylko przez realizm, nasączony impresjonizmem, ale także przez bogatą paletę barw, której głębia emanuje ciepłem.

Krystyna Robbins jest członkiem Amerykańskiego Związku Artystów Malarzy, tworzących techniką olejną (OPA). Jej prace znajdują się w prywatnych, publicznych i korporacyjnych kolekcjach na całym świecie.
Artystka od wielu lat prowadzi działalność społeczną i charytatywną, była m.in. prezesem El Paso Art Association, dyrektorem artystycznym General Casimir Pulaski Society w jej mieście. Wspiera wiele organizacji katolickich i działających nonprofit. W 2014 roku wraz z mężem, pułkownikiem Armii Amerykańskiej w stanie spoczynku, w Fort Bliss utworzyli program edukacyjno-terapeutyczny dla żołnierzy, cierpiących na zespół stresu pourazowego (PTSD). W ramach tego programu organizują ponad 30 warsztatów malarskich rocznie dla około

400 żołnierzy i ich rodzin.

Krystyna Renata Robbins o sobie:

Moją pasją jest malowanie farbami olejnymi na płótnie, gdzie pędzel i szpachla łączą się, by nadać strukturze głębię życia, nieosiągalną przy posługiwaniu się innymi narzędziami.
Moje prace odzwierciedlają moje artystyczne życie od wczesnych dni w Nowym Jorku, poprzez barwne kresy Dzikiego Zachodu, aż po Europę, z polskością w tle…
Ponadto odkrywam świat pasteli i akwarel. Są one naturalnym dopełnieniem mojej pracy, szczególnie w pejzażach, gdzie żywe kolory kontrastują z dominującymi na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych glinianymi i kamiennymi strukturami. Podobne widoki spotka się także w Toskanii, Prowansji czy Szkocji, skąd pochodzę.
Większość moich prac, przywiezionych do Polski, przestawia stare franciszkańskie i jezuickie misje od Kalifornii po Meksyk, stuletnie domostwa z cegły suszonej na słońcu w południowym Teksasie oraz uliczki w Toskanii i Prowansji.
Kocham także morze, kutry, proste łodzie rybackie i stare, porzucone przystanie, obojętnie w jakim zakątku świata

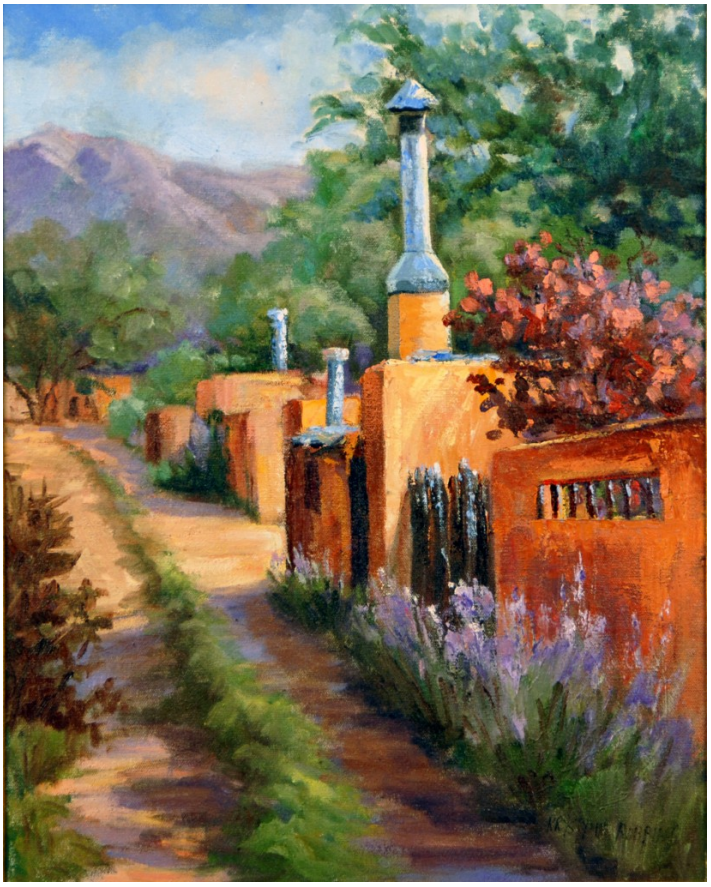
G A L E R I A



Up Canyon Road



Mission Arched



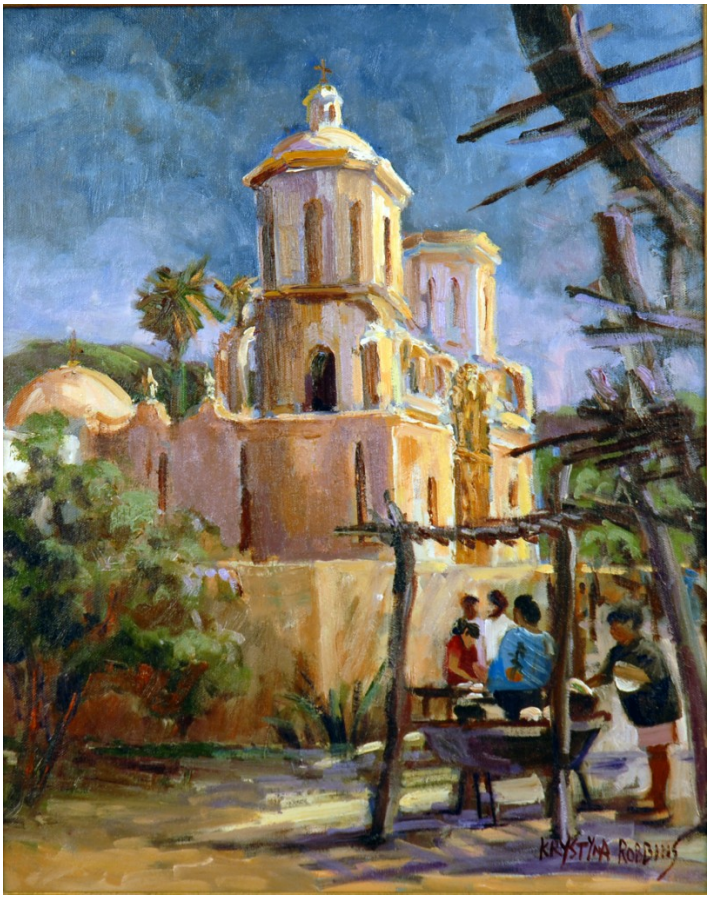
Back Alley Chimmeys, Taos



Indian Vessels



Sunday Morning



St Xavier



San Eli



Saguaro



Retablos



Old Town Chiles-Stare Miasto w Chiles



Tree of Life



Plaza Theatre

Zamiast życiorysu



Andrzej Strumiłło podczas Warszawskich Targów Książki , maj 2013, fot. Wikipedia.

Andrzej Strumiłło

W dzieciństwie wyobrażałem sobie, że wysoko nad nami jest

niebo-raj – pełne kolorowych ptaków – i że strzała z łuku dobrego wysoko wystrzelona, wracając, przyniesie nam pod nogi cudo-ptaka.



Może przyszedł już ten czas i strzała powraca. W międzyczasie przeżyłem wojnę, tracąc Ojca, Kraj Dzieciństwa i wiele złudzeń. W jej środku rysowałem sosny i studiowałem sople lodowe, zwisające z dachu. Malowałem też olejem kopyta konia marszałka Woroszyłowa. Po wojnie zapisałem się jako student nr 15 do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, a na gorącą prośbę mojej Mamy podjąłem także studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego. W Łodzi miałem szczęście spotkać Władysława Strzemińskiego. Jemu zawdzięczam pierwsze świadome otwarcie oczu. Ze Strzemińskim rozmawialiśmy nie tylko o sztuce. Wspominaliśmy ziemię mińską, skąd pochodził i on, i mój Ojciec, i nasi krewni. Ascetyczną, piękną twarz Strzemińskiego widzę do dziś wyraźnie, chociaż od czasu jego smutnego pogrzebu minęło już pół wieku. Nie mogę powiedzieć, że zawsze byłem jego

wiernym uczniem. Ale jestem coraz bliżej białego milczenia.

Ukończyłem Wydział Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Moim kolegą był Andrzej Wróblewski. Andrzej żył krótko, ale jego „Rozstrzelanie” pozostaje dla mnie najlepszym obrazem z tych, które próbowały udźwignąć ciężar czasu wojny, a może i w ogóle z namalowanych przez nasze pokolenie. I niech będzie to poczytane za moje credo. Wiele w życiu widziałem. Podróże, które mam za sobą przez góry, pustynie, stepy, tajgi, dżungle, morza, oceany, przez cywilizację i czas, nauczyły mnie tolerancji, względności i zbliżyły do pogodzenia się z losem. Sztuka wydała mi się aktem egzystowania tak naturalnym, jak wszystko inne, co mieści się między narodzinami a śmiercią.

Pominę tu wyliczanie tego, co zrobiłem przez kilkadziesiąt lat pracy w dziedzinie malarstwa, rysunku, grafiki, ilustracji książkowej, wystawiennictwa, scenografii, fotografii, poezji. Pominę też nagrody i sukcesy, a także porażki, upokorzenia i klęski, których los, dbający o równowagę, nie oszczędził. Nieraz musiałem zarabiać, wykonując rzeczy błahe, stosowne, obce sobie. Przez kilka lat byłem asystentem i profesorem malarstwa. Przez dwa lata byłem urzędnikiem Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, prowadząc tam pracownię projektowania graficznego. Manhattan dał mi wszystko, co dać może cywilizacja miasta. Oglądałem setki galerii, tysiące wystaw pod zawołaniem „I am the best”, ukazujących w krzyku dramat

istnienia. Po tym wszystkim nie pozostaje nic bardziej godnego niż milczenie. Zasypiając pod Brook.

Od wielu lat część swoich sił poświęcam „kreowaniu otoczenia człowieka”, działając na rzecz ochrony krajobrazu północno-wschodniej Polski, która jest bliska memu sercu, również i dlatego, że przypomina kraj dzieciństwa.



ANDRZEJ STRUMIŁŁO

Poland

GRAPHIC ARTIST
SCULPTOR
POET
SET DESIGNER
PHOTOGRAPHER
ORGANIZER OF
INTERNATIONAL
OPEN-AIR EVENTS

One of the leading Polish graphic artists Andrzej Strumiłło was born in Vilnius in 1928. He received his basic professional training in Poland, was a professor with the Krakow Art Academy (1977-80), and coordinator of the UN General Secretariat's graphic publications program in New York (1982-84). He also did painting, drawing, photography, illustrations, book and even stage design for TV plays. He has been involved in photography since 1945 and his creative quest is not reduced to the visual arts.

124

He is the author of two volumes of verse, "My Own" and "How", along with a book on nature and culture. He has been round the world, from Italy to Japan and Thailand, the experience resulting in a series of drawings and photos. He has a collection of art and articles of material culture from the Far and Middle East. A list of his one-man shows in various cities of Europe, Asia, and the Americas is too large to quote here.

As the Polish art critic Krzysztof Czyżewski put it "Andrzej Strumiłło may be involved in different arts, including photography (which is a documentary art dependent on the external world), but we can still see his work as search for a model, a quest for in an intended internal system. The author treats art as a self-defining model of mental work and intellectual perception. The model refers to the relation between the visible and the discourse. Andrzej Strumiłło's graphic works are on a rather restrained color range, without exalted outbursts and insolent interpretations. He uses diversified techniques: Indian ink, gouache, linoleum engraving, and zincography. He can even take advantage of a curve in the paper, forming a small fold, as a major innovative approach. Some works attract one's attention with an incredible amount of meticulously executed details, making every stroke of the chisel painstakingly inimitable, others seem to be influenced by pop art and surrealism.

Strumiłło writes about himself, "I used to regard all media as a means of expression, as forms of communication. And I regarded communication as so many components of the conscious and subconscious which we wish or have to discover to sustain ourselves and uphold a dialogue with others." From the current of ciphered information the artist snatches an informative piece and presents it for the viewer's inner judgment.

Above left: **Adam.** *Gouache, board, 2001*
1. Asia. *Poster, 1980*
2. Torso. *Oil, 1975*

1, 2

125

Andrzej Strumiłło, katalog wystawy.





6 - 8. From the cycle "Windows of the Twentieth Century". *Oil on canvas, 1989*
9. From the "Psalms" cycle. *Oil on canvas, 1988*
10. Mandala. *An interpretation. Oil on canvas, 1978*



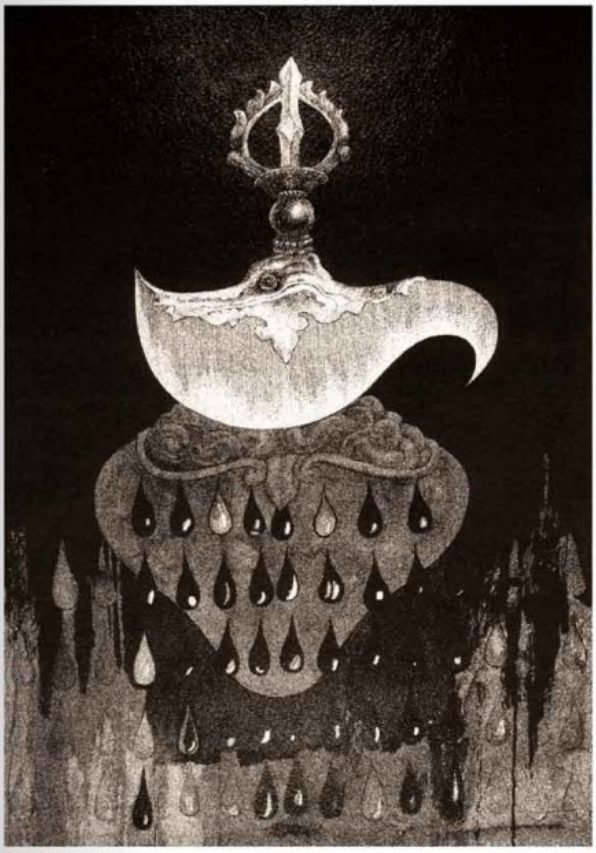
3



3. Torso, Syenite, basalt, 2000
4. Warrior, Basalt, 1999
***5. Mongolian Symbols of Lamas Grì-Gag,** Indian ink*



4



5